

Kochanek malutki

Aurelia Es

AURELIA ES

KOCHANEK MALUTKI

© Copyright by Joanna Godlewska & e-bookowo 2010
Grafika i projekt okładki: Jędrzej Godlewski
ISBN 978-83-61184-96-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2010

Rozdział 1

Umarłam dwudziestego czwartego grudnia, w dzień wigilii Bożego Narodzenia, dziesięć godzin przed ukazaniem się na niebie pierwszej gwiazdki, która chrześcijanom z obszaru Europy Wschodniej służy jako wskazanie do rozpoczęcia świątecznego posiłku. Śmierć przyszła niespodziewanie, była niczym gwałtowny chłód, który ściska serce i kurczy duszę. Do utraty świadomości. Do zawsze. Jak to śmierć. Kto by przypuszczał?

Dwudziesty czwarty grudnia był typowym przedświątecznym dniem, który powtarzamy cyklicznie, z roku na rok, ze stulecia w stulecie. Radość, oczekiwanie, troska, niepokój. Śnieg.

Śnieg trzeszczał pod butami, lekki mróz szczypał policzki, z dachów zwisały sople, lód, kryształ, zimowa dekoracja. Wracałam do domu niosąc świąteczne zakupy. Zabawki, perfumy, krawat, woda kolońska, słodycze. W plastikowej torbie i w plecaku. Zakupy z ostatniej chwili, jakby kwintesencja spełnienia, słodka kandyzowana wisienka na szczycie czekoladowego tortu. Bez pośpiechu. Ludzie szczęśliwi spieszyć się nie muszą. Fortuna jest stanem stałym, i tu i tam, wszędzie. Jestem, będę, przyjdę. Teraz i jutro. Na pewno, na wieki. Kocham.

Choinkowe iluminacje, krasnoludki w za dużych czapkach, cukierkowe aniołki, pakunki w kolorowym papierze. Kup, popatrz, oceń, podaruj! Na jedną statystyczną osobę przypada dziesięć zakupionych prezentów. Jedna statystyczna osoba wydaje na świąteczne podarunki od 200 do 500 złotych. Prawie wszystkie statystyczne osoby obchodzą Święta Bożego Narodzenia godnie, tradycyjnie i w pocie czoła. Jak ja. Tak jak ja! Właśnie jak ja! Wszystkiego najlepszego!

Co kilka metrów przytupywał na ulicy świąteczny Mikołaj, skrywała go broda biała i puchata, nie wiadomo, młody czy stary, trzeźwy czy podpity, wesoły czy smutny. Dzwoniły dzwoneczki. Ludzie tłoczyli się w sklepach, słuchali dźwięków popularnych kolęd. Uśmiechały się sprzedawczynie, *poproszę jeden kawowy li-*

kier, jedno czerwone wytrawne i ruski szampan. Dziękuję. Uśmiechali się pijacy, żebracy, mieszczanie, gospodynie domowe, zacni mężowie. Wesołych Świąt! Pijanych Świąt! I oby nam się! Wszyscy będziemy świętować wesołych świąt. Czy to nie wspaniałe?

Wspaniałe, wspaniałe, życie jest wspaniałe, nuciłam pod nosem, uśmiechałam się do przechodniów. Do wigilijnej kolacji zostało niewiele godzin, siostra nakryje stół białym obrusem, położy świąteczny opłatek, złożymy sobie życzenia. Szczęścia, zdrowia i że będziesz przy mnie. Bo będziesz przy mnie, prawda? Prawda. Jajka w majonezie, karp w galarecie, śledzie w śmietanie. Sałatka jarzynowa. Czerwony barszcz, albo zupa grzybowa, do wyboru, do koloru, do przesytu, do ziół przeciw niestrawności. *To on? Tak, to on. A któż by! Nareszcie.*

Na deser zjemy wielkie kawały makowego tortu, owocową galaretkę, keks i marcepanowe ciasteczka. Wszystko popijemy dużą ilością wina. Wódki, koniaku, likieru, co kto woli. Jak zwykle. Po kolacji zbierzemy się wokół kominka, posłuchamy muzyki… *Przystojny*, powie w sekrecie matka, albo szwagier. Albo siostrzeńcy. Pewnie, że przystojny. Ten wybrany. Zakochany. Zakochana. Głupia?

Skręciłam w „moją" uliczkę, odetchnęłam głęboko. Lodowate powietrze wypełniło płuca. W domu mojej siostry będzie ciepło i przytulnie. Kolorowe światełka na choince będą mrugać, tak, tak, tak, *proszę się częstować*, figi, orzechy, daktyle, suszone jabłka i śliwki. Podarunki. Szelest papieru. Cisza…

W mojej uliczce panowała cisza. Nagła. Nieoczekiwana. Wywołała dreszcz. Zdziwienia.

Bo oto świąteczny rozgardiasz zniknął, zamilkł, jakby go nigdy nie było. Przejmujący chłód uciszył radość. Dlaczego? Stukot moich butów słychać było w ruchliwym echu, które odbijało się od kamieni mijanych domów. Stuk, stuk, stuk, szłam coraz szybciej po popękanym chodniku. Myśli o wieczorze u siostry zblakły, rozwiały się, czyżby nieprawdziwe? Umykałam przed wiatrem, który jęczał rozdzierająco, poganiał mnie przed sobą, prędzej, prędzej. Prędzej. Na głowę naciągnęłam kaptur kurtki, wolną rękę wcisnęłam do kieszeni. Czułam niepokój. Nieokreślony i sztywny. Dlaczego? Co się stało? Kiedy zmienił się nastrój? Gdzie podział się wesoły harmider, krzykliwe zabieganie, zdążyć, zdążyć przed pierwszą gwiazdką, otworzyć drzwi kuzynom, nareszcie, nareszcie, prosimy? Jeszcze przed

chwilą wszystko błyszczało optymizmem, jakoś to będzie, wszystko się ułoży, życie to koronkowa robota, materia ażurowa, weneckie, rosellino, burano, czy brabanckie. A teraz... Nici się splątały. I kto je rozsupła?

Dom, w którym mieszkam, stoi na końcu ulicy, naprzeciwko parku. Park Nadrzeczny, kilkanaście tysięcy metrów kwadratowych przestrzeni, w lecie zielonej, w zimie białej, na jesieni wielokolorowej, poprzecinanej żwirowatymi alejkami. Ławeczki, fontanny, świeże powietrze, azyl dla zakochanych, dla leciwych i dla matek z dziećmi. Azyl dla mnie. Dla mnie też. Mój azyl. Moja kamienica jest trzypiętrowa, przysadzista, ma zaokrąglone kanty, ozdobne balkony i płynność linii. Secesja. A jednak na renowację elewacji pieniędzy brak, sponsorów brak, urzędniczego zainteresowania zabytkiem też nie ma. Zostaje patchwork rudych cegieł, które przypatrują się światu ciekawie zza odłupanego miejscami tynku, drewniane framugi starych okien, popękana farba. Niedofinansowana część miasta, czynsze za to znośne, a do nowoczesnych apartamentowców daleko. Mój dom.

Dwudziestego czwartego grudnia o godzinie około jedenastej przed południem otworzyłam frontowe drzwi mojego domu, które zaskrzypiały niemiłosiernie, metalowych zawiasów nikt przecież od dawna nie naoliwił. Powitał mnie chłód kamiennej posadzki, która lepszych czasów niemym była świadkiem. Poszłam po schodach na górę. Powoli. Przyglądałam się zaciekom wilgoci na ścianach, czyżbym widziała je po raz pierwszy? Opierałam się o balustradę, której falista linia zazwyczaj nadawała wnętrzu niezwykłą lekkość, ale tamtego dnia kojarzyła się z zygzakowatym śladem gada. Brzydota. Stęchlizna. Pustka. Czy to mój dom? Bezpieczny? Wytchnienie? I spokój? Nieszczelne okna jęczały niepokojąco.

Coś było nie tak. I kiedy się zmieniło? To coś?

Oprócz zawodzenia okien z wnętrza domu nie dobywał się żaden inny dźwięk. Stała cisza. Jej nadmiar kojarzył się z bezruchem, stop klatka, zatrzymany na zawsze moment zatrwożenia. Boże! Co było nie tak?

Obcość. Duszność. Zagrożenie.

Dusza ciążyła niczym zmoknięty płaszcz, kapały z niej krople roztajałej wody. Przeczucie. Obawa. Bezradność. Strach? W rękach trzymałam siatkę wypełnioną ciężarem uzbieranych przez całe życie kamieni. Kamieni. Twardych, za dużych, ostrych. Trudno jest po nich chodzić, ranią stopy, kaleczą uczucia. Ciężkie nogi

podnosiłam do góry. Stopień za stopniem. Zgrzyt za zgrzytem. Pokonując lęk? Nie. Nawet nie starałam się pokonać lęku. Byłam zmęczona. Stara. Przymknęłam powieki. Czułam upływ lat. Jakby minęło tysiąc zim. Czarnych i mroźnych. Tysiące doświadczeń.

Jednak coś było nie tak.

Kosmaty pająk przysiadł nieruchomo w górnym rogu drzwi na pierwszym piętrze, złowrogi drapieżca, świadek. Świadek, czego? Czarnych usiłowań, zmarnowanych szans, tajemnicy z samego dna głębokiej studni? Podeszłam do mieszkania oznaczonego numerem czwartym. Drugie piętro, prawy korytarz. To numer mojego schronienia, zagwarantowany testamentem przodków, którzy spędzili w tym miejscu szereg szczęśliwych lat. Otworzyłam drzwi. Zwolnione ruchy… Zwolnione ruchy pozostawiają czas do namysłu, odejdź, nie wchodź, zapomnij, przestań.

Weszłam.

Jednak weszłam. Do środka. I od razu wiedziałam, że jest inaczej niż zwykle. Coś się zmieniło. Tak. Coś się zmieniło. Przestrzeń trzypokojowego mieszkania była inna. Inna niż zwykle. Inna niż dwie godziny przedtem. Martwa? Przerażona? Cisza śmierdziała przerażeniem. Życie, które trwało tu tyle czasu, ulotniło się gdzieś niepostrzeżenie, może przez szpary w oknach, może przez dziurki od klucza, może przez pory murów.

Pustka.

Wiedziałam, że nikogo nie ma ani w kuchni, ani w pokojach, ani w łazience, nigdzie, nigdzie. Wiedziałam, że jestem sama. Samotna. Bezbronna. Ja. Wiedziałam. Mieszkanie było puste. O Boże! Mieszkanie było puste. Puste nie pięciominutowym przyrzeczeniem powrotu *zaraz wracam*. Mieszkanie jest puste prawdziwie. Pusty był każdy centymetr myśli i oczekiwań. Pusto było wszędzie. Puste było wszystko. Bo jakżeby inaczej?

Co można robić w pustym mieszkaniu, z którego wyparowała radość i optymizm? Stać na baczność? Płakać? Milczeć?

Milczałam.

Ależ milczałam! Jakby zabrakło na świecie słów. Jakby słowa nie zostały jeszcze stworzone. Rezygnacja. Bezruch. Rozumienie ciężkie jak wilgotna kłoda drew-

na, która przygniata umysł, czucie i pragnienia. Przecież wiedziałam. Nie! Tak. Przecież wiedziałam.

Nieszczęsne biurko…

Biurko, które babka zostawiła w spadku, masywne, dębowe, stare. Narzędzie twórczej, spokojnej pracy. Lśnienie wytartego potem dłoni blatu. Podkładka szybkiej miłości. Rano. Popołudniu. Moje biurko. Biurko…

Na biurku pod oknem, oparta o szklaną lampę, dobrze widoczna, stała biała koperta. Bez adresata. Bez nadawcy. Bez niedopowiedzeń. Wiadomo.

Wiedziałam…

W środku był list. Wiedziałam, że w środku był list. Takie rzeczy się przeczuwa, śni, zgaduje. Przed takimi rzeczami broni się świadomość, półświadomość, ćwierć świadomość, rozsądek i moc przewidywania. Przewidziałam? Zadrżałam? Przeczułam? Biała koperta z listem w środku pozostawiona na widocznym miejscu nigdy nie wróży niczego dobrego.

Nie podchodź, nie otwieraj, żyj w ułudzie, wyrzuć.

Podeszłam powoli.

Droga od drzwi do biurka wydawała się trwać w nieskończoność, ciągnąć się kilometrami niezmierzonej przestrzeni. W zwolnionym tempie, w fałszywej rzeczywistości.

Nie dotykaj, udawaj, odwróć się, zamknij oczy.

Otworzyłam oczy.

Otworzyłam oczy, nic już nie miało znaczenia. Można było jedynie wejść do głębokiej wody, po kolana, po pas, po szyję, po wieczność.

Nie otwieraj!

Nie otwieraj! Nie otwieraj!

Dramaturgia sekwencji zdarzeń kazała otworzyć kopertę, wyjąć zgiętą kartkę papieru, rozłożyć…

Nie czytaj!

Palce trochę nieposłuszne, spojrzenie nieco rozbiegane. Wiadomość napisana ręcznie. Zielonym tuszem. W dobie pospiesznych internetowych maili i elektronicznych esemesów, wyznanie napisane było ręcznie. Banalne. Pospolite.

Przeczytałam.

Po co?

Przeczytałam.

Wybacz. Muszę odejść. Ona jest w ciąży.

Ktoś napisał.

Kto? Kto to napisał? Kto to napisał!?

Do cholery!

*

Resztka życia. Wątła niczym płomyk świecy pozostawiony w przeciągu. Ucisk ciężkiej ziemi, która przykrywa przeszłość. Twarz zamienia się w kamień, szary, przydrożny, bez uśmiechu. Kamienie przecież się nie uśmiechają. Czas przelatuje niby świst wiatru, od niechcenia. Nie ma nic. Nic? Nic nie ma. Puch dmuchawców odleciał w nieznane jutro. Pozostaje czerń. Przepaść. I ostatni błysk świadomości. Zwykłe odejście. Typowe rozstanie. Nic wielkiego. Po prostu śmierć. Sprytnie schowana w kilku zdaniach pospolitej informacji. Siedem wyrazów, trzy kropki. Po prostu śmierć.

Rozdział 2

Czy cierpienie może przeistoczyć się w dźwięk? Albo odbić się echem od kłamstwa? Zwielokrotnieć? Napęcznieć? Przeistoczyć w chłód samotności? Zawisnąć w pustce? Nie wiem. Nie pamiętam. Umarli nie wiedzą i nie pamiętają. A ja byłam przecież martwa, nieżywa, niepomna, niewłaściwa. Strzępek. Bez osobowości. Jednak płakałam.

Łzy obficie płynęły po policzkach. Krople łez w kształcie łez. Duże krople. Twardniały, krzepły i z brzdękiem spadały na podłogę. Pac, pac, pac. Kryształki smutku. Koraliki nieszczęścia. Niezbity dowód istnienia niewypowiedzianej rozpaczy. Podłoga lśniła od usianego na niej blasku niczym kraina srebrzącej się boleści. Jak to możliwe? Kurczące się ciało, zlodowaciałe uczucia, odejście bezkształtnego kochanka. Nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia, bo jeśli stracił kształt, to przecież musiał odejść? Resztki myśli uciekały pospiesznie, nadchodziła nicość, zgnilizna. Umierałam. Umierałam. Gdy nie przesuwa się cień twój obok mego cienia. Wtedy umieram. Zapominam życie.

Skrycie co roku. Statystyki podają, że z powodu miłosnego zawodu, około czterech tysięcy osób odbiera sobie życie. Liczba ta podzielona jest nierówno między mężczyzn i kobiety w stosunku jeden do trzech. Do zamachów samobójczych dochodzi najczęściej w domach, w parkach i w lasach. W okresie od późnej wiosny do wczesnej jesieni. Najczęstszymi sposobami odebrania sobie życia jest: otrucie gazem, zażycie trucizny, upadek z wysokości, utonięcie, powieszenie. I inne. Mój przypadek okazał się być typowy, jeśli chodzi o miejsce, ale nietypowy, jeśli chodzi o sposób i o czas. Znalazłam się w kategorii – inne. Powodem mojej śmierci był żal i tęsknota. W wigilię Bożego Narodzenia. Ale wstyd!

Umierałam czas jakiś. Mogły to być nieokreślone, śmiertelne dni. Godziny. Mogły to być lata w nicości, albo wieki bezmyślne, bez snów i bez marzeń. Umieranie dopadło mojego ciała, duszy i umysłu. Ciało zwiędło. Spóźniony jesienny kwiat,

pożółkłe listki, pochylona łodyga. Ku upadkowi. Zbrzydło. Zwiotczało. Dusza uciekła przerażona. Umysł zamilkł. Kruche życie, które łatwo stracić, zranić, przechytrzyć. Gdzie było?

Umierałam w nieświadomym bezwładzie i w cielesnym poniżeniu. W ciszy uwięzionych myśli, których przecież nie ma.

Umierałam na koszt sąsiadki z góry i sąsiada z parteru. Umierałam pod czujnym okiem życzliwych ludzi, którzy nie pozwolili mi umrzeć. Jednak.

Sąsiadka z góry wkroczyła do akcji, kiedy zobaczyła otwarte na oścież drzwi do mojego mieszkania, kiedy wyczuła pustkę czającą się w przestrzeni mojej przestrzeni i kiedy zobaczyła moje bez znaczenia zwłoki na podłodze saloniku, wśród migotania lśniących kamieni/kryształów/łez. Nawykła do sprzątania, wzięła porządki w doświadczone ręce, cudem dźwigni silnych ramion umieściła moje zwłoki na tapczanie, pod martwą głowę podłożyła poduszkę, a na czoło położyła zimny kompres. Nie zawiadomiła lekarza. *A co on by tam poradził! Takoż zimny kompres by zalecił i łapę by wyciągał, że wyciągał. Łapę po zapłatę, a po cóż by! Takie one są te doktory. Takie one są.* Litościwa. Zdroworozsądkowa.

Sąsiadka zaopiekowała się więc moją skromną osobą. Przykryła mnie wełnianym kocem, w nadgarstki i w skronie wtarła ocet. *Co by się rozgrzały. Co by krew pobudzić.* W pokoju śmierdziało ostro i kojarzyło się z produkcją marynat. Dobrze, że będąc martwa, nie czułam tego zapachu zapobiegliwej garmażerii. Łzy, które rozsiałam na znacznej części podłogi, zostały przez moją sąsiadkę zmiecione w jeden pokaźny pagórek lśnienia, a następnie upchane w reklamówki po zakupach i ustawione grzecznie obok biurka przy oknie. *Tyli tego, tyli tego. I takie iskrzące paciorki, że aż wesoło się robi, aż wesoło.* Moje wesoło kojarzone łzy. Po sprzątnięciu i uporządkowaniu ciała, po zapakowaniu połyskliwych paciorków, sąsiadka zabrała się do robienia porządków ogólnych. Zamiotła i umyła podłogę, wyczyściła łazienkę, odkurzyła meble, opróżniła kosz z podartych próbek pożegnalnych listów mojego byłego kochanka, wyrzuciła śmieci, umyła garnki, wyczyściła kuchnię i zaczęła przygotowywać rosół dla umarlaka. Sąsiadka nie mówiła zresztą o mnie jako o martwej, prawie martwej, czy nie całkiem żywej. Nazywała mnie chorą. Rosół dla chorych. Rosół dla chorych to podstawa ozdrowienia. Prawdziwy rosół powinien być ugotowany na kurze i na wołowinie, oka muszą w nim pływać, że aż pływać, włoszczyzna nie może być rozgotowana, a zapach niech

się roznosi po wszystkich piętrach, po parterze, wszędzie. Niech wiedzą. Niech wszyscy wiedzą, że tu się gotuje smacznie i zdrowo. Zdaje się, że właśnie wtedy, kiedy rosół był już gotowy, przyszedł sąsiad spod dwójki, *co tu się dzieje u sąsiadki, co tu się dzieje, wypadek jakiś, z przepracowania, z nieuwagi, z niedożywienia?* Ach, ach! Sąsiad szybko postanowił służyć pomocą i już za chwilę siedział wygodnie przy stole i ze smakiem zajadał tłusty rosół z cienkim makaronem. Skąd ten makaron? Posypany pachnącym suszonym koperkiem. Ziarnka pieprzu, angielskiego ziela, szczypta soli. *Nie za słone, aby? Aby nie za słone? Dolać jeszcze?*

– A pewnie, że dolać, pewnie, że dolać, rosół to samo zdrowie, jak tylko nasza dziewczyna się ocknie, zaraz skosztuje kapeczkę, zaraz jej się lepiej zrobi – odpowiedział sąsiad spod dwójki i łyknął aromatycznego wywaru.

– Patrzaj pan! Już ma trochę kolorów na polikach.

Zaróżowiona lekko, leżałam martwa jeszcze na samotnym posłaniu. Nieżywa, nieczuła, wyjałowiona. Oprócz dalekiego dźwięku pracujących łyżek, które uderzały o dno talerzy do zupy, niczego nie słyszałam. Niczego nie widziałam. Niczego nie czułam.

Troska.

A jednak troska okazana mi przez sąsiadkę z góry i sąsiada z parteru okazała się być bardziej potężna niż śmiercionośna pustka. Uparta troska rozmieniła śmierć na drobne, wymiotła niepotrzebne odpadki na szufelkę, do wiadra, na śmietnik. Aby dalej. Lecznicza troska zdezynfekowała czucie. Krew znowu zaczęła krążyć w wyschniętych arteriach, pojawiło się mrowienie w palcach u rąk, w palcach u nóg. Ciemność odsuwała się niechętnie. Kropelki jasności pojawiły się to tu, to tam. Nieśmiało. Dźwięki. Strzępy myśli. Życie wróciło? Zdawało się, że wróciło życie. Niemrawe i niezbyt oczekiwane. Poszarpane. Byle jakie. Radość, smutek, przerażenie? Jeszcze nie wszystko się skończyło?

– A teraz napije się pani rosołku, wszystko będzie dobrze, siły powrócą – łagodny głos sąsiadki z góry sączył się niczym dym z kadzidła, otumaniał, otaczał, brał w posiadanie.

– A ja zrobię herbatkę. Z cytryną. I z cukrem. Dla pokrzepienia – mówił sąsiad, nalewał wodę do czajnika, do szklanki wkładał torebkę czarnej herbaty. Skąd ten cukier? Przecież nie używam cukru? Ruchy spowolnione, dźwięki jakby zza mgły.

Głosy, które działały jak narkotyk. Dowodziły, że nie byłam obojętna, że znaczyłam coś jeszcze, że musiałam być, że chciałam być. Za oknem padał śnieg. Białe płatki wirowały w tańcu, raz dwa trzy, raz dwa trzy, w górę, w dół, skoczne podrygi. Osiadały na okiennym parapecie w puchatej pierzynie. Jak to w zimie.

– Smakuje?

Chyba tak. Chyba smakuje, zresztą trudno powiedzieć.

– Lepiej pani?

Chyba lepiej. Lepiej się czuję. W skali jeden do dziesięciu samopoczucie na cztery punkty. Cztery punkty życia. To dużo?

– Ile łyżeczek cukru?

Jedna? Dwie? Trzy? Bo chyba nie cztery?

– Proszę unieść głowę. Podłożę poduszki.

Głupia. Kaleka. Kwaśna i niedojrzała. Bez perspektyw, bez marzeń, bez planów na wieczór, bez chęci. I głodna jak wilk. Proces umierania zakończył się fiaskiem. Czy mi się to podobało, czy nie, byłam żywa, boleśnie żywa i chora z niedowierzania, że można upaść tak nisko. Umrzeć z miłości!

– Spierdalaj, kutasie! Spierdalaj z mojego życia – zawołałam z głębi swojej boleści, bezsilna i poraniona.

Głos uwiązł w gardle. Przemienił się w niegroźny szept. Uleciał. Jakby go nigdy nie było?